

IV. Obrazowanie smugowe

Z Sieverta skręcam w Azjatycką. Przejście dla pieszych. Zwalniają posiwiałe od śniegu, pokryte białym mchem samochody.

Ulica Laureatów, Kopiczyńskiego, Dejmka, Przygłębska. I blok. Mój, nasz. Opustoszały, półzdechły, przypominający lodową jaskinię, albo pieczarę z bajki pełną kości ofiar smoka (głupie porównanie).

Chłód panujący we wnętrzu. Ukryty, głęboki, paskudne i bezlitosne zimnisko ciągnące z samego serca, istoty materii.

Zimno jako przyczyna wszystkiego, destrukcyjna (sic!) siła napędowa wszechrzeczy.

Zdejmuję kurtkę i — ledwie zdążam powiesić ją w przedpokoju — bierze mnie drżączka. Dydydydydy, dolna szczęka fałuje. Kłapię, dreszcze biorą, zaczynam czuć się jak głowonóg, ryba głębinowa składająca się jedynie z ła, pełno jest takich, płynę w półmroku, wchodzę do kuchni, czajnik, światło trzeba zapalić, bo ciemno tu jak u Murzyna... kawa na rozgrzanie...

Ciul tam z kawą, muszę się położyć.

...gdzie, w zaświnionych betach?

Dydydydydy.

Pościel — bezdyskusyjnie — do kosza, nie będę nawet próbował prac tej... tfu, masakry.

Biorę z szafy koc, owijam się nim. chociaż ramiona. Krótki, wąski, prawie dziecięcy, kocyk jak dla niemowlaka.

I tak stoi przez moment, skacowany el mariachi, nad "miejscem zbrodni", pobrzękuje, gra na instrumencie perkusyjno-strunowym szarpanym: własnej mordzie.

Padam, właściwie walę się bezwładnie na fotel. Żeby nie dać się większemu drzeniu, nie roztelepać bardziej, trzeba poznać (zrozumieć?) dygociny, ich strukturę, załapać, że najważniejszym w walce z nim jest... spokój. Trzeba wybrać sobie, pomalutku, żadnych gwałtownych ruchów, bo sprowokuje się bestię, w miarę wygodną pozycję, ułożyć się, wrosnąć głęboko w podłoże, wcisnąć w wyro, albo właśnie w fotel, opatulić szczelnie, najlepiej całe ciało, schować się i nie ruszać. Oddychać płytko, powoli, rozgrzewać się własnym ciepłem, czuć, jak promieniuje, emanuje ze środka, gasi, koi, zmywa cholerne drżyny.

Po paru minutach — mijają telepańce. Nie wstaję jeszcze, bo i po co. Kaloryfery — odkręcone na maksa. za to ZE MNIE bije zimno. Póллеżę z wyciągniętymi nogami, aby podkoić zatrute, zakiszone ciało, myśliska — gorzej, niż ponure. Staram się medytować, wyobrażam sobie... życie płodowe. Oto jestem (znowu!) w głębi ciała matki. Środowisko wodne. Ciężko się oddycha przez rurę przyrośniętą do pępka. E, nie mam jeszcze pępka.

Bicie serca, wysoko, tam, gdzie później będzie Słońce. Świat zaczyna się nieco wyżej. Oddech, rozmowa, dudniące głosy. Tam powstaje Najistotniejsze, rodzi się materia, Byt, Myśl. Słowa tworzone na bezkresnych wyżynach (znów pieprzę, popadam w egzaltowaną nostalgię za nie wiadomo czym), wypowiedane na sklepieniu Kosmosu. Wielka Jedność.

Trochę niżej, tuż nad kopułą w której pływam — przelewanie się. Trawienie. Głflyf, plęęę, jęęę. Nieprzyjemne dźwięki, tfu — muza żołądkowa. Kakofonia, chlupoczące fale kwasu. Blub, blub.

Zapach, raczej nie znany wcześniej. Nieśmiało wystawiam głowę. Przeszedł epileptaniec, tarantela. Wciągam powietrze. Głęboki wdeeeeee — i zaczyna być jasne. Doznaję oświecenia. Oświeconka.

Heh, moja transcendentelepatia miewa postać głosu, wewnętrznego i bez słów, poczucia-przecucia, pojawiających się nie wiadomo skąd myśli i przekonań, na ogół — trafnych (niespodziewanie spada na mnie średnio potrzebna wiedza dotycząca przyszłości, dajmy na to ni z gruchy, ni z pietruchy wiem, że jutro sąsiadowi popsuje się samochód, albo że żona go zdradza z tym łysym monterem z Orange; prze-

ważnie nic z tymi rewelacjami nie robię, bo i trudno wykorzystywać w jakiś logiczny sposób takie info z dupy; można się tylko irytować, że moje oświeconka dotyczą kompletnych banałów, są skrajnie nieużyteczne, a nigdy, dajmy na to, nie wizualizuję — trafnych! — numerów, jakie padną w najbliższych losowaniach totolotka), i właśnie — woń. Obca. Dosadna. Ciężka do zniesienia. Jak krzyk.

Materializuje się myśl. Nakaz. "Widzę" niejako, zapach. Dolatuje zza wersalki, woń nad wonie, hiperaromat. Czuję się dotknięty, dogłębnie, posmyrany (!) w środku nozdrzy, zatok, gardła, płuc!

Gligła, łaskocze, gligloli niemożliwa do okiełznania, do przeciwstawienia się jej, woń. Godowa? Gdzie tam!

Mięsna. Spożywcza. Niejako łapie mnie za pysk i ciągnie za wspomnianą wersalkę. Coś ma być... jest!

I następne. Trzecie. Czwarte na dokładkę. Wyciągam, wytaczam... kulki, bo cóż by innego. Dorodne, surowiutkie.

...a ja taki głody. Serio — im dłużej trzymam w dłoniach guzotworce, tym bardziej leci mi ślinka, dostaję oskomy, przyjemnego łaskotania po podniebieniu. Promieniuje, dreszcz, ścieka w głąb gardła.

Przecież to dobre półtora kilo — surowej co prawda, ale to żaden problem — wałowy. Jaką to-to roztacza aromatyczną woń! Tłuszcz, gęsty i pyszniutki, nic, tylko zalać, wypełnić nim usta, mięsiunio, kruche, delikatniuchne, rozplływające się w ustach! A ugotować je i — na talerz z musztardą! Nie ma głupich — zakopywać... I tak już się namarnotrawiłem, jak ostatni bezmózgowiec. Tyle dobra — w ziemię, jeszcze — po kryjomu, jak jakiś zbój, morderca, matkobójca gdzie jaki....

To kotlety, kot-le-ty — i tej wersji mam się trzymać. Żaden, nawet największy czub, najbardziej zatwardziały w zakapiorstwie zwyrol-kryminalista (a co dopiero taki pocziwy kaleka, jak ja!) nie tknąłby przecież... zgroza, na samą myśl człowiekowi krew kamienieje w żyłach! Nie ma takiej opcji, by choć pomyśleć o... tfu!

...zielony garczek. Wkładam, po jednym, guzy, potworniaki, bo cóż by innego, to są, MUSZĄ BYĆ guziska, nieludzkie, nie-ludzie, bezosobowce, bezpostaciowe bezistoty...

Ręka mi drży z — nie ukrywam — ekscytacji. Sercu się palpituje. Nie codziennie ma się okazję zrobić coś tak zwariowanego (wariackiego?), jak zjedzenie...

Pstryk! — zapalam gaz. I siedzicie pod pokrywką, gotujcie się....

Oparty plecami o lodówkę, niemal medytuję. Znowu odezwał się, niewerbalne i bezdźwięcznie (!), głosisko. Nawiązałem... on nawiązał kontakt. Połączenie. Wskazał telepatycznie, gdzie leżą, he, he, supelki. Wiedzie mnie, znowu (który to już raz!) na poku...

Nie. Wskazuje właściw(sz)ą drogę. Do...?

Słyszę cię, widzę. Rozmawiam z twoim cieniem, odbiciem. Domyślam się twojego istnienia. Wątpię, przeczę, wyśmiewam, chwilę później wymownie pukam się w czoło. Nie ma cię, a żadne cholerne gremia, bandy, hordki ptaszysk-mutantów nie istnieją. Bywają. I nie.

Kłóczę się, dementuję, daję sobie w mordę, bo jak można tak w żywe oczy kłamać! Są, aż w nadmiarze. Nadistnieją. Wszędzie. Niewidzialni, nadreprezentowani, wypełniający sobą każdy wolny skrawek przestrzeni.

Kuriozalsi, równie niepoważni, co ja. Absurdalni, pozszywani z gałganów, wrzuceni do szmacianych ognisk, płonący na szmacianych stosach, odprawiający szmaciane rytuały, używający szmatensyliów.

...prawdziwi i czyści, jak dym, który tylko ja widzę.

Egzaltacja. Roznamiętnienie. Woda zaczęła wrzeć, bulgocze. Gotują się, progenituraski. Moje?

Cztery rozmiękłe "puciulki", wyjęte ostrożnie z wrzątku, parują na talerzu. A mi ślinka leci, czuję się jak wynędzniały, przez ostatnie miesiące morzony głodem skazaniec (za jakie grzechy?), któremu udało się uciec z niewoli, ukrywa się, przypadkowo trafia do knajpy, gdzie...

Głyt. Przelykam ślinisko, oblizuję się. Coż ja, cholera — mięsa nigdy nie widziałem, że dostaję takiego

zajoba?

...wiem — tak działa czar. Omamica. Oto jestem na uczcie u Wierzyńka, królowej brytyjskiej, na raucie u samego premiera. Ja — dzikie dziecko, kaleka, Dyzma, przede mną: pieczone, pięciotonowy dzik upieczony na złocisto, w winie, piwie, najdroższym szampanie, leży z jabł... z arbuzem w rozdziawionej na oścież mordzie i wręcz prosi się, bym go napoczął, jako pierwszy wbił nóż. I widelec.

Przez ostatnie pół roku byłem "żywiony" mchem, brunatnicami, do celi, w której cierpiałem męki Tantalą, klawisze, z szyderym "bon appetit" wlewali pomyje, wrzucali obierki, liście buraków, surowe kasztany. Syciłem się tym, z braku laku, półoszalały z głodu pożerałem, cokolwiek raczyli dać, łaskawcy cholernie. Tak się czuję. Emocje, doznania — na wyrost, nieadekwatne do sytuacji. Spotęgowane przez klątwę (?).

Ostrożnie, wręcz z namaszczeniem, obchodząc się jak saper ze skorodowaną bomba przeciwpiechotną, dotykam nożem guzoustrojstwa, turlam jedno po talerzu. Wyjąłem je widelcem, odczekałem, aż wystygną, w międzyczasie — obleciał strach.

No, raz kozie śmierć, co się może stać... Wbijam znowu widelec, nadzieвам łobuza.

Woń. Aksamitna. Jak szept, czuły, namiętny, erotyczny. Choć bez słów. Serce wali, kąf, kąf, kąf. W końcu to co mam przed sobą to.. jakby nie było — prawie człowieczki. Albo namiastki, nieudane wersje demo, ciągle i ciągle niezatwierdzone do produkcji seryjnej przedprototypy.

IV. Anakrusis

Pierwszy, jakże wyraźny, oddzielony od innych dźwięk. Aż w podniebieniu czuję. Kęs niczym ostra, kłująca nuta, ton z drutu kolocznego. Miękki, choć pokryty kolcami. Krew z niego wytryska, spływa mi po brodzie, osadza się na zębach i języku. Odczuwalny pozazmysłowo wszechsmak. Ultradozowanie.

Nawiązuję kontakt, telepatyczny, wizualny, widzę paręnaście osób naraz. Są w różnych miejscach, na odległych od siebie o ładnych parę kilometrów ulicach, nie znają się, MNIE nie znają. Przynajmniej nie wszyscy.

Oto zjaweusze, różowopióre czorty kręcące miasteczkiem, otwierają mi wiele drzwi(czek) percepcji.

Jednocześnie mam w myślach i przed oczami Zbyszka Szwajcerczaka, drobnego przedsiębiorcę lat czterdzieści siedem, który traci akurat równowagę we własnej kuchni, właściwie bez powodu wywija potężnego orła i, lądując na plerach dziwi się, że co, czemu, jak to, że... tak po prostu, w dodatku na trzeźwo? Toż to aberracja jakaś, dopust, skaranie boskie z tym remontem, ciągnie się i ciągnie, zabić się można, człowiek się potyka o własne nogi w tym burdelu...! Płacisz, kurwa, a ci się ociągają, ślamazarzą, aua, czort by kopyta połamał w takim bajzlu!

Widzę również Kingę. Żałość, cringe, żenua: noworoczna domowa, posylwestrowy afterek u tego babochłopa Magdy Raclawiny. Siedzą, cztery panieny, piją, jointy palą, tańce, hulanki, swawole na ekranie wiszącej na ścianie plazmy. Śmichy-chichy.

Gapi się, cholerna lesbijka, na moją dziewczynę. Jawnie, otwarcie daje jej do zrozumienia, na co miałyby ochotę. Scena — niczym wstęp do do naprawde niskobud... bezbudżetowego pornola.

A tu — Sławcio, trzydziestolatek po szkole specjalnej. Miłośnik starych samochodów. Wpatruje się cielecym wzrokiem w polakierowanego na papuzio (maska przednia, dach — british racing green, reszta karoserii — o zgrozo — wściekły róż!) volkswagena "garbusa", prawdziwy antyk, rok produkcji 1954, większość części — oryginalna, nawet radio — z epoki.

Chciałby mieć, choćby na parę dni, takie cacko, Sławek, pojeździć za miastem, gdzieś po ustronnych, wiejskich, albo i leśnych drózkach. Bez prawa jazdy, bez znajomości przepisów ruchu drogowego. Pożytkować, poMIEĆ, posiadać, pucować, polerować, woskować, a choćby i lizać lakier takiego "bitla", czyścić mu gaźnik, przewody hamulcowe, kominowe, regulować zapłon, monotrysk, politrisk, wymieniać simeringi w baku, czy co tam się robi, by utrzymać takiego skarba w jak najprzyzwoitszym stanie

technicznym i wizualnym.

Zasmuca się, Sławek. Wie, że to marzenie ściętej głowy. Niechby chociaż powiedział, zająknął się, że chciałby mieć skuter, czy głupią motorynkę... Już matka wybiłaby mu z głowy fantazjowanie o niebezpiecznych bzdurach. Ma świadomość swoich wad, ograniczeń, wie, jak bardzo wybrakowany jest. I że — kategorycznie! — nie wolno mu samemu jeździć. Nawet rowerem. Bo inaczej — czeka solidny opeer.

...zakłócenia obrazu, sygnał się tnie, wizja — zniekształca. Odnoszę mylne wrażenia, biorę je za fakty.

Magda Raclawina, kobieca i seksowna, niczym czechosłowacka sportsmenka, siedzi przecież wygodnie w domu rodziców, leczy kaca, Kinga — bryluje w Antwerpii, podrzędnej, półlegalnie działającej knajpie (czynna świątek-piątek, 24/7, właściwie melina, ściek, do którego zlążą się najrozmaitsze męty, biedalokal, przytulisko dla wszelakiej maści szemranych indywiduów, typiszcz spod ciemnej gwiazdy, ta nora nor — idealnie pasuje do mojej Kingi, świętej menelicy, natchnionej i puszczańskiej dysonansiarzy, oksymoronki, moralizatorskiej kurewki).

...a kogóż tu widać? Mirek Szwaliszuk, ten, co parę lat temu przeżył niezły szok, gdy dowiedział się, że we wczesnych atach pięćdziesiątych, w okresie błędów i wypaczeń, stalinizmu, obu jego dziadków, Bogdan i Tadeusz, miało za sobą — z czym się nawet szczególnie nie kryli — romans. Skoczyli homoerotycznie w bok, popełnili błędy i wypaczyli się leciutko, po czym — gdy im się chyba znudziła odmiana — jakby nigdy nie wrócili do żon.

Kiwa się w fotelu przed telewizorem, usiłuje zmusić się do patrzenia na skaczące na ekranie żywe lalki. Oczy same się zamykają choć jest dopiero... wczesne popołudnie? Chyba. Średnio dziś się orientuję w czasie i przestrzeni.

Krew, której mam pełne usta, "nadzienie" specyficznych zrazów, kotletów, smakuje jak przesłodzony, malinowy sok.

Błogostan. Hiperodprężenie. Rozprężenie. Ożywczy, kojący wiatr pod skórą. Wilgotny prąd, który aż łaskocze w podniebienie.

...a teraz widzę ciebie, Paulinko. Nie znamy się, bo i skąd. Jesteś piętnaście lat młodsza, gdy się rodziłaś byłem już w... czekaj, której klasie...? Mało ważne.

Chciałabyś mnie, co? Wiem, czuję przez dzielącą nas przestrzeń, hektolitry chłodnego powietrza, zimnego światła, lodowatej krwi i śliny obcych, zobojętniałych, oschłych ludzi, przez całe śnieżne pustynie, beczki benzyny, Mała i śliczniutka Paulcia, odległa i zarazem szalenie bliska. Dziewczyneczka, według wszystkich naokoło — słodka i niewinna, czysta, krystaliczna, bezgrzeszna, niemal święta, mała nimfomanka, której w głowie tylko jedno. Obsesjonariuszka, mistrzyni loda z połykiem. Blow job queen. In pectore. Wyuzdana, wyzwolona, jak chyba nikt w naszym nieco zadupnym miasteczku, prowincjonalna bachantka, której nie będzie dane stracić cnoty.

Czuła i namiętna, jednocześnie — gorąca, dzika i szalona... kaleka, zamknięta w niewidzialnej skrzyni, pancerzu nie do zdjęcia (że potrawestuję jedną z piosenek KATa: "w bezkształtnej bryle uwięziona tyle lat") dziewczyna, z którą los obszedł się wyjątkowo okrutnie, uniemożliwiając... w zasadzie wszystko.

Wiedziesz tę swoją vita reducta, bo trudno to inaczej określić, skępowana, za niewinność, za nic, BO TAK, bo demony tego miasteczka postanowiły być wyjątkowo złośliwe i właśnie tobie uniemożliwić spełnienie najbardziej podstawowej fizycznej o psychicznej potrzeby, uŻYCIE siebie, krótkich i nieuleczalnie niknących chwil nazywanych życiem, młodością.

Nie, kurwa, takiego wała — zadecydowały różowopióre bestie — masz być zakutana w kaftan bezpieczeństwa, pas cnoty, ręką i nogą nie możesz poruszyć, wstać z łóżka. Mówić? A po co? Leż, bądź karmiona, przewijana, jak w piosence: "po prostu bądź". To wystarczy.

Wegetuj. Masz być żywym posągiem, wszystko czującą kukłą zakneblowaną raz na zawsze niewolnicą choroby. Niech ci się umiera codziennie z chęci, dojmującej, taaak, wariuj, konaj, rzucaj się wewnątrz skorupy, z której nie ma i nie będzie ucieczki, no, chyba, że w głębszą nicość, czarną amnezję, potem —

nieświadomość, w stan wegetatywny.

Chciej, szalej z pragnienia nie mogąc go nawet wyartykułować, wrzeszcz tą swoją ciszą, na którą jesteś skazana.

Mogłabyś być cudowną partnerką, kochanką, jeszcze lepszą żoną, ale nie ma prawa być tak banalnie, przynajmniej póki one tu rządzą. Życie to nie bajka, no, chyba, że taka w stylu braci Grimm, wyjątkowo okrutna. Albo Andersena — ten też potrafił pojechać na ostro, popisać psychopatozy.

Śpiąca królewna nigdy się nie obudzi, taka prawda. Obejdzie się bez happy endu. Według lokalnych bóstw-dręczycieli: tym lepiej, śmieszniej, ciekawiej, tragiczniej.

Zdychasz wewnętrznie, niezaspokojona, spalasz się co dzień bardziej i bardziej, czujesz, że tam już tylko zgłiszczą zostają, a mimo to nadchodzi kolejny pieprzony dzień i słońce wznieca pożar.

...podałbym ci się, nawet pomimo kalectwa. Egzemplarz wybrakowany, pozbawiony istotnej części, nie w pełni sprawny.

Ale lepszy taki, niż żaden. Jestem dosyć miły i sympatyczny (podobno!), chyba nawet nie brzydki (jeśli nie zachleję — z lustra nie patrzy na mnie człekokształtna małpa, troglodyta), nie żaden karzeł, garbus, trędowny.

Jednoręki bandzior, szarmancki skurczysynek, którego drugą łapę odzarił i rozwałkował na miazgę groźny smok — magiel (bezlitosne, blaszane monstrum).

Ale nic to, pod innym względem jestem bardziej, niż pełnosprawny, he, he. Zawsze zwarty i gotowy.

I takiego pragnęłabyś, ze wszystkimi wadami i zaletami, i taki wydałby ci się zawaliście męski, przystojny. Samczy. No facet po prostu, z krwi i kości, co z tego, że nieco ułomny; drugą łapę ma, na niej — pięć zdrowych paluchów, które może włożyć...

Przyciągałbym cię, podniecał samą swoją obecnością, wyglądem, zapachem. Całe worki, reklamówki feromonów w powietrzu! Gorąco, namiętność, zaduch, rozgorączkowanie, ekstatyczność, pragnienie, drżączka siakaś, niemal epileptyczna...

I pierwsze, co byś zrobiła, gdyby dane ci było, choć na dwadzieścia parę minut wyzwolić się z okowisk, odkostnieć, to... wiadomo. Nie trzeba przesadnie rozbudowanej wyobraźni, aby zwizualizować sobie tę scenkę: wyzdrowiała, wręcz ożywiona Paulinka, nie ceregieląc się nie wdając w zbędna gadkę-szmatkę (szkoda czasu, cenne sekundy mijają!), pada na kolana, rozpina mi rozporek. Bierze do ust.

I byłbym twoim pierwszym, jedynym facetem; obróciłabyś się z powrotem w głaz, a ja zostałbym w pamięci już na zawsze, jako TEN, o którym myślałabyś wielkimi literami, z podniosłością, emfazą, ale i czule, facet nad facetów, którego wspominałabyś, ciągle i ciągle. Wzariłbym się, zostawił płamę nie do wywabienia, wypaliłbym ozdobne piętno (taki ze mnie skaryfikator!).

Ja — trip, ucieczka przed okrucieństwem realnego świata, bilet w kosmos, niestety — nie w jedną stronę, czarnoksiężnik, sakralizator, otumaniacz, blant, święty Mikołaj, dobry duch pojebanej, kamiennej bajki.

Ale — jak wspominałem — nie ma tak dobrze. Zostałaś skazana na dożywotnią abstynencję, parszywą i niepotrzebną, niepożądaną czystość, zamknięta w więzieniu bez murów i krat, na szczycie kamiennej wieży. Zakonnica, której gnije cnota, muchy latają nad psitą.

Czuję twoją gorycz, pomimo dzielących nas, zzołziałych bab, zaburaczałych facetów, szarych mieszkańców biednej mikropolii, domów z odpadającym tynkiem, hektarów łuszczącej się farby i nasiąkniętego deszczówką styropianu, masy bitumicznej na ulicach i w głowach tutejszych decydentów, mimo światła, szkła, miedzi, brudu, supermarketów, koszy, z których aż wylewają się śmieci, wyszumowują niedopałki, widzę cię, przez całą szurzącą i lepką, barbarzyńską przestrzeń świata, który tak parszywie cię potraktował.

Przykre to i — mówiąc bez ogródek — wkurwiające. Nic, tylko się rozryczeć z bezsilnej złości, bluzgać, złorzeczyć tym różowopiórym sukinsynom, których istnienia się domyślam.

Żal cholerny, że w sumie tak blisko jest ktoś, z kim mogłoby być magicznie. Ekstatycznie. Sto razy lepiej, niż z Kingą.

Patrzę na ciebie od paru chwil — i coraz bardziej bolisz.

...nie, nie powinnaś istnieć, tak byłoby lepiej, czyściej, klarowniej, nie zaprzętałbym sobie myśli chciejczymi i nie mającymi szans realizacji fantazjami, nie gdybologizmowałbym tak gorączkowo, nie zadreślał się, że...

...a zatem — nie ma cię. I bez dyskusji. Przekierowuję myśli na inne tory, przestawiam zwrotnicę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 01.08.2021 09:03

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.